

piersa. Spoglądał przytem na Józię, ale nie wprost, tylko bokiem oczu.

Twarz młodej kobiety oblała się nagle gorącym rumieńcem. Józia domyśliła się, kto każał Felkowi oddać te kwatki.

Pierwszym jej odruchem było obrazić się i rzucić wiązanek z pogardą. Cóż on sobie myśli – ten natręt?

Ale zrobiło się jej żal róż. Takie precudne, królewskie kwiaty rzucić w pył ulicy – pod obcas przechodniów. To jakby zabójstwo popełnione na żywej, pięknej istocie.

Więc co zrobić?... Pojechać do tego zuchwalca oddać mu różę i powiedzieć, piorunując go spojrzeniem:

– Mój panie, jak pan śmie...

Ależ on się goiów wyrzeć i kto mu udowodni?! O! I teraz paty się niby w inną stronę, jakby go Józia i jej wiązanka nic a nic nie obchodziła.

Stała tak chwilę zmieszana, sploniona. Kilka osób w przechodzie potrąciło ją.

Jakaś panienska w skromnej, granatowej sukience otarła się tuż o Józię, spojrzała jej w twarz i wykrzyknęła:

– Józia!...

Młoda pani Zarnicka drgnęła i podniosła oczy:

– Tośka!...

Koleżanki ucałowały się serdecznie i tak głośno, że ktoś z przechodzących rzucił stereotypowy dowcip:

– Będzie deszcz! No nareszcie, przyda się!

– Moja ty, jak ja się cieszę, że ciebie spotkałam – mówiła uradowana Józia – a ja wyszłam za męża, wiesz?...

– O! Wiem! – odpowiedziała tamta, mierząc koleżankę zaciekawionem spojrzeniem bladych oczu o ciężkich powiekach – Dużo mówiono o twojem małżeństwie w Krakowie...

– Tak?... – zmieszana się lekko Józia – I coś takiego mówiono?

– Różne rzeczy... różne rzeczy... – odpowiedziała dziwnym tonem Tosia – W każdym razie dobrze dla ciebie, żeś za męża poszła...

– Oczywiście, że dobrze – rzuciła podrażniona młoda mężatka – bo dostałam tego, kogo pokochałam.

– Naturalnie, naturalnie... Można ci tylko pogratulować z całego serca. Powinnam była od tego właściwie zacząć.

– Dziękuję ci!... A co u ciebie słychać, Tosiu? Może także wybierasz się za męża?...

– O! Nie... Nie mam ochoty ani powodu spieszyć się tak bardzo... – odparła tamta chłodno, podkreślając nieco wyraz: powodu.

Józia uczuła, że odezwała się nie bardzo zrećnie i pospieszyła skierować rozmowę na inny temat.

– Wiesz, spotkałam przed chwilą na Plan-tach Fidlerzyce! Ta to się nic nie zmieniła.

– Rozmawiałaś z nią może?

– Gdzież tam! Co ja bym z nią miała do mówienia! Ale gdzie ty idziesz, Tosiu?

– Do rynku. Dzisiaj targ. Chcę kupić wisien i wracam do biura, bo wyrwałam się tylko na pół godzinki.

– Pracujesz w biurze?

– Przecież sobie jeszcze bogatego męża nie złapałam, żebyś mogła próżnować – zaśmiała się Tosia trochę sucho.

Józia wyczuła, że dawna przyjaciółka zmieniła się jakoś, przynajmniej w stosunku do niej. Z tonu Tosi wiało coś, niby ukrywana niechęć czy uraza. Józia zrobiło się bardzo przykro i nieswojo, tak przykro, że odpędziła od siebie to nie mile spostrzeżenie.

– Tak mi się tylko zdaje – pomyślała – jestem teraz zanadto drażliwa i podejrzliwa. Dlaczegożby ta pocziwa Tośka miała...

Tamta przypatrywała się jej tymczasem krytycznym wzrokiem, lustrując twarz, ubranie, figurę, kapelusz.

– Bardzo mizernie wyglądasz, moja Józiu – zauważyła z jakimś błyskiem złośliwego zadowolenia w bladych oczach. – Nie służy ci widocznie małżeństwo.

Józia mogła śmiało odpowiedzieć koleżance, że i jej paniński wygląd dużo pozostawia do życzenia, bo cera Tosi miała odcień żółtawy, wargi i dziąsła były b-zkrwiste, a kości policzkowe występowały ostro.

Młoda mężatka uznała jednak za stosowne powstrzymać się od tego wątpliwego komplementu.

– Tak, zmizerniałam trochę – rzuciła wymijająco – ale zresztą zdrowa jestem.

– I oszczędności zdaje się nauczyłaś się. Dawniej tak lubiłaś ładne szmatki, a teraz, kiedy mogłabyś się ubrać elegancko... Przecież ty masz zupełnie niemodną spódnice!

O bucikach nie wspomniała, ale nie uszło to jej uwagi, że buciki Józine mają stary fason, są rozdeptane, a na jednym z nich widnieje nawet mała „przyszczyпка”.

Zastanowiło ją to. Czyżby przesadzone były wieści o majątku Żarnickiego? Albo może jest tak skąpy, że żatuje żonę na buciki... Z czliwiej spojrzała na Józię.

– No ale ładna jesteś zawsze, nawet ładniejsza niż dawniej – powiedziała łaskawie.

Józia milczała zakłopotana. Inaczej wyobrażała sobie tak e spotkanie i rozmowę z serdeczną niegdyś przyjaciółką, powiernicą tajemnic i marzeń.

Szła obok Tosi, siląc się zrozumieć, dlaczego one właściwie tak dziwnie rozmawiają z sobą. Przecież tyle jest i innych rzeczy do powiedzenia.

– Co to może obchodzić Tosię, jaką ja mam spódnice? Dawniej nie zwracała na takie rzeczy uwagi.

– Czy idziesz ze mną na targ? – zapytała Tosia.

– Owszem jeżeli wracasz zaraz do biura, mogę cię odrowadzić. Mam czas.

– Naturalnie – uśmiechnęła się cierpko tamta – że masz. Cóżbyś miała do roboty. Na długo przyjechałaś?

– Jutro wracam – powiedziała i pośpiesnie opuściła głowę.

– Z mężem jesteś?

– Nie, sama.

Nie mówiła koleżance o tem, że mąż jest przy wojsku i że tęskni za nim bardzo. Po cóż mówić miała? Czula, że Tosia przestała dzielić jej troski i radości. To jest taka sobie obca panienska, z którą wprowadzie siedziała kilka lat na jednej ławie szkolnej, ale o! i wszystko.

Złota nić przyjaźni wąła była widocznie i zerwała się łatwo.

Józia nawet nie żałuje już tego i jeżeli nie żegna się z Tosią, to dlatego jedynie, że nie ma nic lepszego do roboty i chciałaby od koleżanki posłyszeć jakie nowiny o wspólnych znajomych.

Weszły w rynek, wrzący ruchem targowym, którego charakterystyczną cechą stanowiło to, że kupujących było daleko więcej niż sprzedawców towaru.

Szczególnie do koszu z drobiem i nabiałem cisnęły się tłumem kobiety, wśród których przeważały fizyognomie semickie i głowy w charakterystycznych perukach.

Szczęśliwi posiadacze kur, gęsi, kaczek, maśla, jaj i sera wyrzucali z ust flegmatycznie ceny nieprawdopodobnie wysokie, wywołując u żądnych kupna okrzyki protestu, słowa skargi, wyrzekań, prośb, a niekiedy ostre obelgi i groźby.

– Co? Dwadzieścia koron za taką kurę?! Czy wy macie sumienie?!

– A pani co do mojego sumienia?! Ja nie sumienie sprzedaję ino kurę!

– A żeby was Pan Bóg ciężko pokarał! Krzywdą ludzką się łuczycie!

– Głodem nas umorzyć chcecie! Skórę ostatnią zedrzeć!

– Chamy workami pieniądze chowają i przez to taka drożyzna!

– To my drożyznę robimy?! My?! A wy wafroby kapelusze! A któż z nas zdziera tutaj, jak nie wasze kupce!

Jakaś babina, trzymająca na ręku dużą, żółtą kurę, wybuchnęła nagle głośnym płaczem:

– Za co mnie pani przeklina?! Za co pani na mnie boskiego pokarania wzywa? Ja taniej nie mogę! To pani nie wie, co teraz buty kosztują, co ładajaka szmat! Ja dzieci mam, nago nie mogą chodzić!

– Sroić się chcecie! Jedwabie kupujecie, aksamity!

– Jakie jedwabie?! Jakie aksamity?! A żeby wam ozory powykręcało! To wy, tu w mieście, zbytki robicie, a nam dobrze, jak na „durk” starczy.

Atmosfera duszna była, przesycona wzajemnem rozjątrzeniem, wrzająca głucho, obustronna zawiścią.

Jedni patrzyli na drugich, jak na sprawców swego nieszczęścia i biedy.

– To panowie wszystkiemu winni!

– Chamy panoszą się teraz, ale poczekajcie – Cichajcie, kobiety, bo wstyd i nierozum! – wtrącił poważny, siwy chłop, w krakowskiej sukmanie. – Co ta jedni drugich winić, kiedy ta wina kaj indziej siedzi. Powiedziałbym coś, ale trza do czasu język trzymać za zębami.

– Słusznie powiadacie – przyznał ktoś – ale ludzie nie myślą co i jak. Żle im, więc hura drała na tego co najbliższy!

– Rozumnie powiedział ten stary – zwróciła się Józia do Tosi.

– E! Ale cenę to potrafi zrobić jeszcze rozumniejszą – odrzuciła tamta ze złością. – Te chamy ostatni grosz z nas wyciskają, a za to kupują sobie fortepiany i wprawiają złote zęby!

Józia roześmiała się.

– Ależ to bajki, aregdotki, moja Tosiu! Wiem coś o tem, bo całe zeszłe lato spędziłam na wsi.

– Niby to oni się przed tobą wynętrzali! Przeczwłaj sobie, co wszystkie gazety pisał!

– To głupstwa pisał – oświadczyła spokojnie Józia.

Tosia wzruszyła ramionami.

– Doprawdy, dziwna jesteś Józiu – wycedziła w taki sposób, iż domyślić się należało, że słowo „dziwna” zastępuje przez grzeczność określenie „głupia”.

Minęły rozpaloną słońcem pola rynku. Ogranił je chód sklepionych arkad Sukiennic. Od jednego z kramów ciągnął się poprzez halę długi łańcuch ludzi.

– Co to? Znowu „ogonek”? – zapytała Józia. – Czy to tutaj jaka piekarnia?

– Nie. To jest „ogonek mydlany”.

Tosia rzuciła wzrokiem po ustawionych w pary osobach i dojrzała wśród nich swoją młodszą siostrzyczkę. Dziewczynka uśmiechnęła się do niej bladymi wargami.

– A mówiłam mamie, żeby Zosi nie poryła – rzuciła przez zaciśnięte zęby, więcej do siebie niż do Józi. – Dziecko wąle, anemiczne... Ładne ma wakacje.

– Strasznie ciężkie czasy – szepnęła młoda mężatka.

– Ty najwięcej pewnie wiesz o ciężkich czasach! Ci, co mają pieniądze, to mają i wszystko! Nie potrzebują wystawać w „ogonkach”.

Józia uśmiechnęła się smutnie i łagodnie.

– Gdybyś ty wiedziała, ile ja mam pieniędzy... – pomyślała.

Tosia, patrząc przed siebie pośpiesnie, zaczęła mówić:

– Bronisz chłopów, Józiu. Ależ oni mają gospodarstwa, krowy, kury, zwiększone dochody, zasiłki! A tacy jak my?! Jak ja, moi rodzice?! Mojemu ojcu nie podnieśli pensji ani o jedną koronę! Ja haruję za marne sto dwadzieścia koron miesięcznie! Za wszystkiemi wystawaj, proś się, przepłać i jeszcze cię oszukują! A bodaj to!...

– Prawda... – powiedziała Józia cicho.

Przeszły przez Sukiennice na drugą stronę rynku, gdzie pod pomnikiem Mickiewicza rozłożył się targ owocowy i kwiatowy.

Kwiatów było dużo, polnych i ogrodowych, owoców i jagód zato daleko mniej. Przy jakiejś kobiecie, sprzedającej borówki, utworzył się już „ogonek”, nie pozbawiony nawet asysty policjanta.

Józię targ nało obchodził. Zapatrzyła się w szrzeliście, zda się w niebo zdążające, linie kościoła Panny Maryi. Tosia natomiast niespokojnymi oczyma upatrywała wisien.

– Chciałabym koniecznie kupić wisien. Mama słaba jest i taką ma ochotę na kompot. Ale kto wie, czy się dokupię.

– Chodź no – pociągnęła Józię w stronę, gdzie dojrzała kosz pełen czerwonych, dojrzających jagód.

– Po czemu kilo wiśni?

– Sześć koron.

– Tak drogo? Przecież taryfa jest...

– Niechże se panna idzie do taryfy!

– Dam pięć koron! To przecie dosyć.

Chciała mówić coś jeszcze, ale w tej chwili pomiędzy nią, a koszyk z wiśniami wcisnęła się żydówka, w żółtej peruce, odsuwając Tosię energicznym ruchem łokcia. Żydówka ta, w starej, brudnej chustce, w wyświechtanej spódnicy, z twarzą żółtą i pomarszczoną, wyglądała z pozoru na nędzarkę, ale minę i ruchy miała osoby bardzo pewnej siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)